NUMER 29. DNIA 19-go LIPCA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

R. W. EMERSON

(Z POWODU SETNEJ ROCZNICY).

Sto lat minęło w ubiegłym miesiącu b. r. od śmierci jednego z najgodniejszych uwagi pisarzy amerykańskich. Imię jego Ralf Waldo Emerson. Pisarz to u nas prawie nieznany, choć do chwały jego należy też, że Adam Mickiewicz zaliczał go do swoich najulubieńszych autorów, częstokroć powoływał się na niego i zdania jego cytował. Jedna jego książka, mianowicie „Przedstawiciele ludzkości“, została na język polski przetłumaczoną, ale przekład jest dziwnie lichy i niedołężny. Niemcy znacznie gorliwiej zajmowali się tym autorem; ostatnimi zaś czasy przełożył niektóre jego szkice M. Maeterlinck na język francuski — i sam o nim piękne studjum napisał.

Rodzaj twórczy Emersona nie da się określić: należy on do tego typu pisarzy anglosaskich, którzy mają w sobie jakby pierwiastek proroczy. Tu należy np. T. Carlyle, J. Ruskin, M. Arnold, i i. — Pisarz, którym się zajmujemy obecnie, miał silnie rozwinięty ten pierwiastek, zwłaszcza, że sam jego zawód — (był on kaznodzieją kwakierskim) bardzo go podniecał w tym kierunku. Jako mówca czarował słuchaczy, a był to kaznodzieja niesłychanie czynny, ruchliwy, wiekuiście w podróży po całych Stanach Zjednoczonych: w Europie też — zwłaszcza w Anglji — siedział długie czasy. Był to jeden z wielkich bojowników ducha; wróg wszystkich tych form, którym my dziś nadajemy nazwę „materjalistycznego pojmowania dziejów“; mistyk, zapatrzony w pozaświat, o ile ten w świecie ludzkim się przejawia i o ile duch ludzki ku niemu dąży: słowem był to jeden z tych myślicieli, których serce zawsze unosiło się w najwyższych rzeczach człowieczych — i którzy ścieżki pańskie prostowali, walcząc w imię Ducha Świętego o królestwo Boże.

Zrozumiemy teraz łatwo podobieństwo jego ducha z duchem mesjanicznym, który ogarnął naszych wielkich romantyków, jak niemniej i niektórych ówczesnych pisarzy francuskich (Lamennais, Michelet, Quinet ect.) U wszystkich tych autorów — obok pojęć wielkiej rewolucji francuskiej — napotykamy głębokie pragnienie jakby odrodzenia religji, obok rewolucji prawno-politycznej żądali oni rewolucji religijnej (Andrzej Towiański).

Do tej fali duchów idealistycznych należał wielki kaznodzieja, Emerson.

Pisma jego, pomijając kazania, są trojakiego rodzaju: najsłabsze zapewne są utwory wierszowane, pełne dydaktyki i nauczania kaznodziejskiego; dalej t. zw. Essays, szkice, dotyczące spraw życia, etyki, religji, sztuki, filozofji, psychologji, teozofji i wszystkich zagadnień natury ducha, serca, myśli, społeczności. Trzeci rodzaj to studja, znane pod ogólną nazwą: Representativemen, gdzie wykreśla najważniejsze przeznaczenia ludzkości w jej głównych przedstawicielach, jakiemi są Platon, Dante, Szekspir, Goe-

the, Napoleon i i. Dzieło to ma pokrewieństwo z dziełem Carlyle'a: Bohaterowie i bohaterstwo, choć nieco odmienną tezę przeprowadza (kierownictwo ludów przez mężów opatrznościowych). Dla Emersona przeciwnie oni są tej ludzkości esencją. Urok pism Emersona stanowi jego styl: jest to styl aforystyczny, pełny blasków, świetności, niespodziewanych porównań, zestawień i zdań, które same przez się już stanowią małe arcydziełka. Ameryka uroczyście obchodziła stulecie jednego ze swych największych proroków: byłoby też pożądanem, aby i u nas choć spóźnionem echem ukazały się w przekładzie rzeczy Emersonowskie.

A. Wrz.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(3)

Niektórzy poznawali Karskiego, kłaniali się mu i wołali nań, ale nie miał czasu na rozmowy. Raz tylko zatrzymał konie i zapytał jadącego z miasta przekupnia, czy jest tam jeszcze parowiec.

— Ano jest, ale miał iść!...

— Pędź, pędź, Betinget!... choćby paść miały! — krzyknął Stefan.

— Padną, to zupełnie staniemy!... — odrzekł flegmatycznie Jakut.

Karski skoczył na kozioł i odebrał Betingetowi lejce. Konie poczuły pana i czas jakiś biegły po dawnemu, ale siły ich widocznie topniały. Starszy, siwy — wierny towarzysz pierwszych, najcięższych dni Karskiego — bardzo osłabł. Stefan z bólem serca musiał go smagać. Szlachetne, niebite nigdy zwierzę, za każdym razem szarpało rozpaczliwie postronki, lecz nie mogło już zdążyć za młodszym towarzyszem; uprząż na nim wkrótce znowu wolniała. Drugi, wrony, z „rybiemi oczyma,“ brzydki i zły, ale niezmiernie wytrwały, biegł z tym samym rozmachem i energją, co i pierwszą wiorstę, kąsał jedynie przy lada sposobności swego towarzysza i chudł w oczach.

— Ten, siragiaś, padnie, a biegu nie zwolni!.. wołał z zachwytem Betinget.

Co pięć wiorst stawali, aby konie wytchnęły, i karmili je suchym jęczmieniem. Pomimo takich wysiłków dostali się do wioski dopiero o północy.

— Jest parostatek? — spytali pierwszego przechodnia?

— Jest! — oparł ten.

Karski odetchnął z głębi piersi, otarł znój z zakurzonej, poczerniałej twarzy i oddał lejce nie mniej odeń uradowanemu Betingetowi.

— Zawracaj na przystań!

Minęli biały, murowany klasztor i wyjechali nad rzekę. Potężna, szaro-srebrna wstęga wody, różowa od blasków różowej nocy, spokojnie płynęła w pociemniałych brzegach. Blado odbijały się w niej wiejskie budowle, stosy belek, białe obłoki i niebo pobladłe. U przystani, skleconej z desek, stały rzędy statków, umocowanych na grubych, napiętych i wciąż drżących linach, ale parostatku nigdzie nie było widać...

Karski nie chciał wierzyć swym oczom. Zeskoczył z wozu i pobiegł wzdłuż wybrzeża, aż

tam, gdzie ono skręcało za biały klasztor. Roztwarło się przed nim wodne roztocze jeszcze gładsze, jaśniejsze, szersze i bardziej puste. Jedynie gdzieś daleko, na skraju horyzontu majaczył nizko nad wodą mały, zwiewny obłoczek, czy dym...

— Stefanie, właśnie cię szukam! Czemuż się spóźniłeś?!... Odszedł przed godziną! — wołał nań, zbliżający się od strony wioski, mężczyzna.

Stefan obrócił się ku niemu, ale nie zaraz mu odpowiedział. Stał, jak skamieniały. W oddali Betinget oprowadzał wolno po łące wycieńczone konie wraz z wozem, na którym siedziała Anna.

II.

Pani Matrona, otyła gospodyni tak zwanej „wspólnej kwatery wygnańców," oblała przybyłych potokami współczucia. Ona zwykle wszystkich swych gości oblewała potokami „współczucia," poczem zwolna przechodziła na własne „ciężkie położenie" i kończyła tem, że zmuszała litować się nad sobą, a więc — traktować z wyrozumiałością brud, liche pożywienie, nieścisłe rachunki i inne usterki powierzonego sobie gospodarstwa. Na panią Annę napadła szczególniej za wychochowanie Olesia:

— Co to jest, proszę pani? Czy to się godzi?... Bóg pani dał takiego ślicznego chłopaczka, a pani go marnuje... Trzeba go hartować, puścić na ulicę na słońce, na powietrze... Niech się przyzwyczaja!... Niech sobie lata!... A to wciąż w pokoju i w pokoju... w śmieciach, które sam robi!.. To na nic! To samo z pokarmem: najzdrowsze, co najprostsze! Niech mi pani wierzy!... Nasze chłopskie dzieci, z przeproszeniem, wszystko jedzą, a czy to źle wyrastają?... Mój mąż nieboszczyk, Bazyli, był, z przeproszeniem pani, jak dąb, a pamiętam jak opowiadał, że najlepiej mu smakowała rzodkiew z olejem.

W Stefana usiłowała pani Matrona wmówić, że nie tylko nie stracił, spóźniwszy się na parostatek, ale nawet zyskał.

— Bo to, proszę pana, ja wiem dobrze, jak to na parostatku: ciągły turkot, hałas, ani to się wyspać, ani to zjeść... A głównie drożyzna. I nareszcie... może się zdarzyć rozbicie okrętu. Niech mi pan wierzy: niema to, jak z holownikami, po staremu, wolno, poważnie, bezpiecznie... Chce pan, to pana na brzeg wysadzą: idzie pan sobie spacerem, jagody zbiera, szyszki cedrowe... A chce pan, to pan siedzi w łodzi i spokojnie, powolutku sobie jedzie. Utonąć nie podobna, bo płyną tuż przy brzegu, nieledwie po ziemi. Jeżeli pan chce, mój Andrzej wyszuka panu holowników, niech go pan tylko poprosi. Choć on czasu ma mało, ale to człowiek uczynny... Czego dla swych panów nie zrobi?! Prawda, Andrzeju?...

Z poza drzwi wychylała się zwykle naówczas konopiasta głowa Andrzeja z twarzą uśmiechniętą szeroko, aż po sine dziąsła.

— Mało zostało holowników. Już odjechali, ale... może się znajdzie. Trzeba poszukać. Pewnie, że się znajdzie! Za pieniądze i djabli tańczą!

Stefan po całych dniach błąkał się posępny po mieście, zbierając wiadomości o parowcu, o holownikach, o poczcie... Nie wiedział, co robić. Każdy mu radził co innego, a wszystkie projekty rozbijały się o brak pieniędzy. Leo radził jechać pocztą.

— Najkosztowniejsza droga, ale najprędsza! W rezultacie zrobisz oszczędności... na jedzeniu, gdyż spędzisz w drodze nie miesiąc, lecz dwa tygodnie...

— Ależ zrozum, człowieku, że ja wprost nie mam na opłacenie nawet przejazdu... Nie mówię o strawnem. Zresztą nie spieszy mi się znów tak bardzo.

Leo gwizdał i chodził po pokoju z miną obrażonego.

— Pieniądze furda! Zawsze można... pożyczyć! — wyrzekł stanowczo, biorąc za czapkę. Uciekał, gdyż sam nie miał ani grosza i kredyt dawno wyczerpał. Ale że był chłopakiem dobrym, „uznanym ekonomistą", więc robił usilne poszukiwania „marnej mamony" lub nowych „kombinacyj" kredytu. Tymczasem pani Anna co wieczór błagała męża:

— Jedźmy, jedźmy gdziekolwiek... Brud, zaduch, kurz tego miasta przerażają mnie... Oleś blednie... W dodatku grasuje epidemja... Chwilami wierzyć przestaję, że ujrzę swoich. Wydaje mi się to dalekiem... dalekiem... niedościgłem marzeniem. Czas uchodzi, a co niesie najbliższa przyszłość... nie wiadomo. W nocy, gdy coś stuknie lub brzęknie na ulicy, już spać nie mogę, myślę, że idą odebrać nam pozwolenie. Czy zaręczysz, że tak nie będzie? Czy nie było podobnych wypadków? Jedźmy, jedźmy, byle jak, byle nie siedzieć na miejscu...

Stefan podzielał jej obawy, choć nie dawał tego po sobie poznać; nieraz jednak bladł, spostrzegłszy zdaleka człowieka, idącego w kierunku „wspólnej kwatery“ i chwytał się nieznacznie za pierś, gdzie miał schowany pasport. Zgodził się więc po paru dniach na projekt Matrony, obiecał rubla uczynnemu Andrzejowi i tegoż dnia pod wieczór udał się w jego towarzystwie na miejską przystań berlinek i łodzi.

(C. d. n.)

Z PÓL.

SŁOTA.

Długie dnie, ach, tygodnie, jak smaga ulewa
rozmokłą od łez wiosny, przeziębniętą ziemię;
niwa we mgle deszczowej umęczona drzemie,
wiatr ponurą melodję przyszłej nędzy śpiewa...

Na mgnienie błyśnie słońce, i znów chmur opony
kryją błękit, zazdrosne o jasność niebiosów,
parcieje kiełkująca młoda ruń bez kłosów,
w potokach dżdżu łysieją rodzajne zagony...

Miedzą przemyka postać, — wór zgrzebny na czole
zwisł, jako ta szara szata pokutnicza,
strugi bujne spływają z smętnego oblicza,

usta szepczą rozpaczne skargi na złą dolę...
W bruzdach szemrzą strumienie, szumią wyrw bełkoty
jednostajną pieśń smutku, rozpaczy, tęsknoty...

ŻNIWO.

Brzęknęły jasne sierpy, lśnią w rannem przeźroczu,
przodownica stanęła na czele żniwiarzy:
wpół przygięta, z uśmiechem na rumianej twarzy
błyska bielą odzieży i błękitem oczu.

Sypkie się złoto kłosów do kolan jej ściele,
rośnie bogactwo snopów w ogorzałych dłoniach,
wietrzyk muska włos płowy, rozwiany na skroniach,
wkoło drga bujne życie, radość i wesele...

Naprzód! naprzód! nim przyjdą południa spiekoty,
przy skocznej piosnce świerszczy, przy szczęku i gwarze,
chociaż czoło znój zrasza, hej, naprzód żniwiarze,

gromadźcie zgodną ławą w kopice skarb złoty!
Zaś po żniwach bogatych, drużyna wesoła,
jak ongiś, znów zasiędzie u wspólnego stoła...

POBOJOWISKO.

Nocą, po walce, legło pole krwawym szmatem,
stratowane, zdeptane, przesiąkłe posoką...
księżyc twarz zawstydzoną skrył w chmury głęboko,
trupy śpią, uciszone męki majestatem.

Uciszone?... O śmierci, bojowe pokosy
dyszą nocą, czerwone od łuny dalekiej:
oto łza szklanna spływa z pod bladej powieki,
oto w mgłę płyną bolu przytłumione głosy,

sztywniejąca dłoń kreśli znak krzyża ostatni,
pierś się szamocze, targa — nie na wskroś przebita,
warga spiekła rozpacznie białą rosę chwyta...

O śmierci, spiesz się! spiesz się! Wywiedź z cierpień matni
te trupy nie umarłe... Nim słońce powstanie,
niechaj już cicho będzie na krwawym tym łanie.

Zofja Poznańska.

NOWELE I POWIEŚCI ORKANA.

(3)

Drugą ponurą nowelę wytworzyćby mogła niemniej dramatyczna historja Hanki Kozerówny, ginącej z rozpaczy po dziecku nieślubnem, zgubionem w drodze przez starego Kozerę, którego co noc „wodziło cosi" do karczmy. Nagniewawszy się na córkę za „hańbę", jaką siebie i jego okryła, postanowił wreszcie Kozera ochrzcić, jak się patrzy, wnuka; przesiedział z nim przez dzień cały w karczmie, a potem upuścił gdzieś dziecko z rękawa, na mróz i śnieg ostrej zimy, na który, jak szalona, wybiegła po nie chora matka, aby już więcej nie wrócić.

Trzecią historję dopiero stanowią właściwe dzieje komornicy góralskiej, Margośki, znoszącej wraz z dziećmi prześladowania od starego Chyby, pogardę lub obojętność ze strony całej wioski, aż wreszcie, opuszczona przez syna, szukającego zarobku na Węgrzech, umiera z gorączki, głodu i zimna, nie mogąc się doczekać paru kropel mleka, po które do nielitościwych sąsiadów posłała kilkoletnią swą córkę.

Samo nagromadzenie tylu ponurych barw i obrazów w jednym utworze wywiera chwilami wrażenie przesady i świadczyć się zdaje o pewnem niezrównoważeniu talentu, który zresztą, w drugiej połowie powieści, zdobywa się na sceny silne, wstrząsające i na dosadną charakterystykę kilku ważniejszych postaci. Ale nad całością utworu unosi się czarna chmura goryczy i zwątpienia; nędza, ciemnota, pijaństwo, głód, szczerzą tu zęby do siebie, brak prawie jednego jaśniejszego promienia, jak gdyby powieść cała pisana była w takim nastroju, jaki n. p. w „Nad urwiskiem" podyktował pełne gorzkiej ironji życiowej „Piekiełko".

Koroną dotychczasowej twórczości Orkana i zarazem dziełem, w którem rozwinęły się szeroko orle skrzydła talentu zagórzańskiego poety, jest wydana niedawno dwutomowa powieść p. t. „W Roztokach". W powodzi beletrystyki współczesnej należy ona niewątpliwie do tych wyjątkowych utworów, które przetrwają ogniową próbę czasu i przejdą do literatury, jako jej zdobycz trwała, chociaż zwykłym pożeraczom drukowanego słowa i ich urzędowym krytykom może dziś mniej się podobać od pierwszej lepszej umoralniającej lub demoralizującej bajki, jakich tyle ukazuje się corocznie ku pożytkowi i rozrywce starych dzieci. Nie pojedynczem jakiemś zdarzeniem zajął się w tym utworze autor, lecz odsłonił przed nami potężną falę życia, która istotnie, jak zapowiadał jeszcze w przedmowie do „Komorników," złączona z szumem wodospadów, burzy się i huczy rozgłośnie. A chociaż rzecz cała rozgrywa się i tutaj u stóp chmurnego Turbacza, we wspomnianem już przez nas „gnieździe dzikich Gorców," i ma za tło — ukochane przez poetę wyżyny karpackie, a w dalszej perspektywie ukazujące się w łunach zachodu olbrzymie, krwawe Tatry, przebijające w górze błękit ostrymi szczytami, to jednak powieść ta, ze swą odwieczną walką dwóch wrogich i ścierających się wzajemnie mocy, nosi już nie ściśle góralski, lecz szerszy, ogólno-ludzki charakter i jest, być może, początkiem i zapowiedzią zarazem nowej fazy w rozwoju niepospolitego talentu Orkana, który pogłębił w niej i rozszerzył znacznie zakres obserwacji i potrafił wznieść się na wyżyny artyzmu, dostępne tylko pierwszorzędnym duchom twórczym.

Dwie wrogie, dwie zwalczające się wzajemnie moce... Tworzy je, naturalnie, z jednej strony świat stary i w formach zmurszałych zakrzepły, którego znakomicie nakreślonym przedstawicielem głównym w powieści jest mądry i doświadczony wójt Suhaj, od niepamiętnych lat sprawujący niepodzielnie rządy gminy przysłopskiej i broniący w niej odwiecznych przywilejów i nadużyć zamożnych rodów osiadłych, ku oczywistej krzywdzie licznej rzeszy biedniejszych zagrodników i komorników bezrolnych. Z drugiej strony występuje do walki duch młody, buntowniczy i gorący, nadmiarem sił bogaty, płonący, jak pochodnia, współczuciem i miłością dla całej rzeszy wyzyskiwanych, bezrolnych i bezdomnych, a nienawiścią dla niesprawiedliwości, nędzy i gwałtu, które w dawnym porządku stały się już niemal regułą. Walka, skomplikowana miłością głównego bohatera powieści, burzyciela form starych, szlachetnego zapaleńca Rakoczego do Suhajowej córki, powab-

nej i namiętnej, lecz praktycznej zarazem, bardzo praktycznej Hanki, umotywowana została w powieści nie tylko buntowniczo-marzycielską naturą młodego reformatora, lecz i pewnem wykształceniem szkolnem, otrzymanem przezeń za życia matki, wrodzonem zamiłowaniem do książek i wreszcie domieszką w jego żyłach gorącej krwi południowej. Areną starć między żądnym zmian, spragnionym szczęścia powszechnego Rakoczym a jego zakrzepłem w formach przeżytych otoczeniem — jest tylko skromna gmina podkarpacka, lecz równie dobrze walka toczyć by się mogła w zmienionych nieco warunkach na obszarze kraju lub świata...

Nad szczegółami tej walki, gdzie zrazu chodzi o udział całej gromady, a nie wyłącznie uprzywilejowanych głów rodu, w obradach gminnych, w wyznaczaniu reprezentantów, mających uczestniczyć w wyborze posłów itp., zatrzymywać się tu nie będziemy. Zakres jej rozszerza się stopniowo, a wynik łatwy do przewidzenia. Gdy Rakoczy po paromiesięcznem obcowaniu sam na sam z dziką naturą górską, pod której wpływem duch jego spotężniał i wyolbrzymiał, powrócił znowu do ludzi, z sercem, płonącem miłością dawną, i niepomny krzywd, doznanych od wszystkich prawie, począwszy od siostry rodzonej, niepomny bólu osobistego, który duszą jego zatargać musiał na wieść o zaręczynach Hanki z „wolim łbem“ Cichańskim, — roztacza przed ojcami rodów wymarzony w ciągu długich dni i nocy bezsennych plan zupełnego przetworzenia stosunków gminy, oparty na wspólnej pracy i wspólnem posiadaniu ziemi, w odpowiedzi na słowa, żarem miłości tchnące, skąpane, zda się, w krwi serdecznej, słyszy z ust Suhaja, którego przecież za najmądrzejszego we wsi uważał, najpierw obelgę i szyderstwo, a potem okrzyk okropny: „wiązać go!“ On z otwartością szczerą do nich przyszedł, chciał im dać duszę całą, bogatą, niósł im życie i szczęście, szedł do nich nie tylko z tym gotowym, a samodzielnie wydumanym planem reformy, lecz z tłumną ciżbą pragnień, których wysłowić niepodobna, z nienazwanemi mocami, którym czynów za mało na ziemi, a oni w odpowiedzi na to wszystko — rzucili się ku niemu z pięściami. „Niech świata nie bontuje, niech nie robi mątu...“ Niewiele wymienić mógłbym utworów, gdzie ta walka wyższej jednostki z bezmyślnym, nieświadomym ciemnoty swojej tłumem przedstawiona została z taką wybuchową siłą i plastyką, jak w tej powieści, pisanej, zda się, pod bezpośrednim wpływem wulkanicznych wybuchów wiecznie młodej, wiecznie zapał budzącej „Ody do młodości“, która po raz pierwszy napiętnowała u nas słowem potężnem ciasny egoizm tłumu, widzącego takie tylko świata koło, „jakie tępemi zakreśla oczy“ i stała się wspaniałym hymnem na cześć najszczytniejszych porywów duchów młodych i pełnych zapału.

(Dok. nast.) *Wł. Bukowiński.*

Włodzimierz Wolski.

(Dokończenie.)

Pod tym względem autor pozostał wierny, wierzeniom lat młodzieńczych, lud zachował dla niego urok ideału, tylko tak samo, jak w poematach późniejszej doby, czas, doświadczenie życiowe, zatarły zbyt ostre kontury, ustąpiła bezwzględność Ojca Hilarego. Marcelemu, który kończy jak najgorzej, przeciwstawiony jest jego krewny Paweł; ten toruje sobie drogę własną pracą, wywalcza stanowisko, ale pomimo to, zachowuje zawsze jednaką przyjaźń dla rodziny

kowala, z którą w dniach biedy, łączyły go bliskie stosunki. Paweł więc, choć został budowniczym, nie gardzi skromną ucztą Szczepaniaków.

Do powieści tej wchodzą różne dobrze zaobserwowane postacie, które dotąd nie pojawiały się na kartkach książek; pokątny doradca, lichwiarka, szulerzy niższego rodzaju, wyborna baba pijaczka, służąca Szczepaniaków, która po kieliszku przypomina sobie przeszłość, kiedy jako markietanka odbywała kampanję 1812 roku, wreszcie mieszkańcy wiejskich dworów, wśród których Paweł znalazł swój ideał. Osobniki te, poczerpnięte ze sfer najrozmaitszych, świadczą, że istotnie Wolski zapatrywał się na Dickensa.

W tej ostatniej powieści, jak i w innych, Wolski nie szczędził zdrowych rad społeczeństwu, którego wszystkie niedobory dostrzegał. W „Bakałarzu“, zacny krewny Ufalskich, wypowiada słuszną uwagę, stanowiącą morał utworu, że nie brak u nas dobrych chęci, nawet dobrych ludzi, ale brak pracy, statku i charakterów, bez których nic trwałego zbudować nie można.

Jak wszyscy bez wyjątku nasi moraliści, autor przy każde sposobności narzeka na cudzoziemżczyznę, na brak zamiłowania do rzeczy swojskich. Pisząc o muzyce, skarży się na zaniedbanie motywów swojskich, których mamy takie bogactwo, bo trzy odrębne typy: szlachecki, chłopski i kościelny. Dodaje też bardzo trafnie, że nie umiemy cenić tych motywów, bo od pierwszego dzieciństwa otaczają nas cudzoziemcy, którzy śpiewają nam swoje melodje. Przy tem za czasów Wolskiego, wszyscy prawie nauczyciele muzyki u nas byli to Niemcy lub Czesi. Jakżeż więc mogliśmy zwrócić się do rzeczy swojskich? Autor nawołuje gorąco amatorów i amatorki spiewu, aby zamiast włoskich lub francuskich arji, śpiewali własne piosnki, stokroć łatwiejsze i milsze dla ucha.

Do powieści swoich Wolski kilkakrotnie wprowadza nauczycieli cudzoziemców, malując ich ze złej lub komicznej strony, a w „Bakałarzu“ opisuje okropną pensję Niemca Pajczera, pijaka i pasjonata, który najgorzej obchodził się z uczniami i naturalnie niczego ich nauczyć nie mógł. Czyżby to były dzieje własne? Posługiwał on się nieraz wspomnieniami, często też można się w jego utworach dopatrzeć faktów indywidualnych, spotkać osoby, z któremi był w stosunkach.

Ze wszystkich swoich powieści najwyżej cenił „Uśmiech losu“, powieść, wydaną w r. 1855. Czy słusznie? — sprawdzić nie mogłam, bo powieści Wolskiego stały się dziś białymi krukami, szukałam jej bezskutecznie długi czas po bibljotekach i antykwarniach, aż wreszcie zdecydowałam się pominąć ją z konieczności i skorzystać z obfitych materjałów, jakie miałam w ręku. Zresztą na sądzie Wolskiego o swojem dziele niekoniecznie polegać można, bo autorowie są rzadko sprawiedliwi dla swego duchowego potomstwa.

Ostatecznie Wolski znakomitym powieściopisarzem nie był. Czytając jego utwory, widzimy, że je pisał człowiek wykształcony, dobrych chęci, wierny historjograf swego społeczeństwa, będą więc zawsze miały wartość dokumentu, ale nie autor, którybyby porwał czytelnika lub wrył mu się w pamięć jaką sceną wybitną lub plastycznym opisem. Plastyki brakowało mu zawsze w poezji, zastępował ją siłą i formą, na owe czasy kunsztowną.

W ostatnich latach pisał coraz mniej. Może się wyczerpał, może raziła go obojętność, do której nie nawykł on, co tak świetnie zaczynał swą karjerę? Pojawiały się też coraz nowe talenty, występowały nowe prądy, nowi ludzie, towarzysze jego pierwszych lat od dawna rozproszeni byli po świecie, a on sam zniechęcił po kolei tych, co pozostali. Żył więc w wielkiej biedzie, a co najsmutniejsza, był zapomniany.

Czasy zmieniły się zupełnie, cyganerja zatraciła swój pierwotny charakter, zniżyła poziom. Po ludziach ekscentrycznych, ale utalentowanych, których wybrykami kierowała myśl poważniejsza, cyganerja miała już tylko coraz marniejszych naśladowców. Zresztą cyganerję wybaczyć można pierwszej młodości, nie przystoi ona ludziom dojrzałym, a Wolski do końca życia był i został niepoprawnym cyganem.

Wmieszany do robót rewolucyjnych, w początku roku 1863 opuścił Warszawę, by połączyć się z oddziałem Langiewicza. On to drukował wszystkie odezwy generała. Naturalnie musiał szukać schronienia za granicą. Tułał się czas jakiś i ostatecznie osiadł w Brukselli.

Za młodu, we własnym kraju, okazał się niezdolnym do jakiejkolwiek systematycznej pracy, tem mniej mógł się do niej nagiąć wśród obcych.

Przedwcześnie zestarzały, podupadły na zdrowiu, zatraciwszy talent, utrzymywał się z przygodnych artykułów dziennikarskich, a więcej jeszcze żył przemysłem i jałmużną.

Umarł w roku 1882., ale powiedzieć można, że był już umarłym za życia.

Walerja Marrene-Morżkowska.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *W czterdziestą rocznicę.* W tych dniach opuściło prasy drukarskie wydawnictwo, którego zadaniem upamiętnić czterdziestą, a tak u nas uroczyście obchodzoną rocznicę powstania styczniowego, a zarazem zebrać w jedną całość rozproszone szczegóły minionej walki orężnej, które inaczej wraz z ustąpieniem ostatnich bojowników, zniknąć by musiały w zapomnienia fali. Powstała ztąd księga p. t. „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, objętości trzydziestu kilku arkuszy druku, a złożona wyłącznie prawie ze wspomnień poszczególnych uczestników. W pierwszej części księgi znajdujemy kilkanaście dokumentów urzędowych, które udało się komitetowi zebrać, jako to: odezwy rządu narodowego, rozkazy dzienne, instrukcje, okólniki i t. p. Wszystko to poprzedzone jest trzema fundamentalnymi aktami Rządu narodowego.

Druga część zawiera wspomnienia, listy i dokumenty prywatne uczestników powstania w porządku alfabetycznym po sobie następujące, według nazwisk autorów, których liczba wynosi 85. Znajdzie tam czytelnik opisy rozmaitych walk, faktów niedoli i męczeństw w latach od 1860—1874, a których sceną jest przestrzeń od Paryża do Kamczatki — od Bosforu po Morze Lodowate. Nie wiele tam przewag orężnych i zwycięstw, lecz nieprzebrana tam ilość bohaterstwa, ofiarności i poświęcenia. To też opisy tych, czasem codziennych, historycznie mniej ważnych przygód osobistych na tle ogólnej łuny pożarów, która podówczas nad narodem naszym rozgorzała, pomieszane z faktami wielkiej doniosłości, dotychczas niewyświetlonymi, nadają tej księdze głębszą wartość. Dzisiejszych czasów człowiek znajdzie w księdze czyny ojców swoich, źródło bezgranicznych, legendarnych poświęceń i miłości ojczyzny, która na wieki wzorem pozostanie dla następnych pokoleń. Historyk znowu znajdzie w tem jubileuszowem wydawnictwie wiele materjału, niezbędnego do przyszłej, a bezstronnej oceny wypadków styczniowego powstania. Jako materjał bezpośredni, dobyty z piersi i wspomnień nieledwie setki i to wybitniejszych uczestników walki zajmie księga pamiątkowa poczesne miejsce w literaturze powstania styczniowego, zaś w każdym domu polskim stać się powinna wspomnieniem tak jeszcze niedawnego trudu i walki.

Z zewnętrznej strony, typograficznej, książka przedstawia się bardzo sympatycznie, mimo, że dla pomieszczenia całego materjału i pomnożenia treści a objętości trzeba było zrezygnować z wydawniczego przepychu. Komitet i autorowie dali — co mogli — duszę i myśl, kartom zadrukowanym, rzeczą zaś społeczeństwa było może poparcie materjalne tak, aby wydawnictwo przedstawiało się okazale, więcej monumentalnie. Nic to jednak nie ujmuje całej wartości księgi, a owszem może i harmonizuje trochę z ubóstwem i biedą powstańczych szeregów.

SZTUKA. *Album starych warowni polskich.* W lwowskim salonie Latoura otwarto obecnie wystawę „Albumu starych warowni polskich“, obejmującego liczny szereg zdjęć fotograficznych z 17 zamków i ruin Galicji zachodniej (Czchów, Czerwony klasztor, Czorsztyn, Dobczyce, Lanckorona, Lipowiec, Lubowla, Melsztyn, Muszyna, Niedzica, Niepołomice, Odrzykoń, Rzeszów, Rytro, Tenczynek, Tyniec i Wiśnicz), wykonanych i wydanych przez p. Józefa Zajączkowskiego z Jasła z tekstem historycznym prof. W. Węgrzyńskiego.

Wydawnictwo to, jak z jednej strony przynosi prawdziwy zaszczyt sztuce fotograficznej, tak znowu ze strony drugiej nieocenioną posiada wartość dla archeologów i wszystkich miłujących pamiątki przeszłości. Dokładność i szczegółowe kształty odnośnych budowli ujęte są w szersze ramy krajobrazu, stąd też całość wypada żywo, dając zupełne wyobrażenie o rzeczywistości.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.